



Oto ja służebnica Pańska!

WŁASNYMI SIŁAMI

MIESIĘCZNIK DLA KOBIETY KATOLICKIEJ

Abonament roczny: 1 zł.

Abon. roczny, zbiorowy, płatny zgóry, dla Oddziałów KSK: 50 gr.

Redakcja i Administracja: Tarnów, Pl. Katedralny 6

Telefon: 110

P. K. O.: 414.329

Odnówić wszystko w Chrystusie!

Irena Breza.

Ostatnie zamówienie.

Zachód słońca posyłał przepych swych promieni do ubogiej izdebki przez maleńkie okienko. Za oknem maj pachnący rozkwitał wieczorną wonią, powietrze drżało od łun różanych i od świeżości zieleni. Wtem z miasteczka, stojącego na wzgórzu, z wysokiej kościelnej wieży przypłynął srebrny głos dzwonu. Białe ręce zamarły w bezruchu, a poruszyła się ponad nimi blada, wychudła twarz. Szczupła, wątła postać uniosła się z krzesła. Bezkrwiste wargi szeptały z uwielbieniem: „Anioł Pański zwiastował Pannie Marii”.

Przestały szeleścić papierowe listeczki róż. Białe dłonie odpoczywały złożone w modlitewnym geście. Panna Melania miała uczucie, jak gdyby ten mrok, płynący zza okna, wsącał się w smutną jej duszę. Gorycz płynęła z serca i jadem rozpacznych myśli poczęła wyciskać z tych ocz znużonych ciężkie, obfite łzy. Padały niby rosa wieczorna. Jak gdyby chciały pobudzić do życia te sztywne, nieczujące róż kielichy.

Ach! Żadnej nadziei na jutro! I ani grosza w kieszeni, ani kawałka chleba w szafie. Za to w głowie ból i szum, w płucach klucie nieznośne, w członkach znużenie.

Na stole ostatnie zapasy bibuły, na ścianach porozwieszane wieńce cmentarne.

Od miesiąca ani jeden wieniec nie sprzedany. Ludzie nie chcą już jej arcydzieł, sklepy boją się ryzykować. A tu ani kawałka chleba na jutro. Co dalej, co dalej będzie? Gdyby miała trochę grosza, kupiłaby płótna i jedwabiu. O! kwiaty z materiałów poszłyby na pewno — do sukien, do kapeluszy. Albo z aksamitu... Panna Melania marzy: zrobiłaby bratki — mięciuchne, puszyste, o barwach fiołków lub błękitnego nieba. Istne cuda. Byłyby jak żywe i pachniałyby wonią tej wiosny, która zza okna przypląwa.

Już księżyc zawisł nad czarnymi koronkami drzew, a panna Melania tkwiła w swej cichej zadumie. Obudziło ją dopiero głośnie pukanie. Zanim zdążyła odpowiedzieć, już wtargnęła do pokoju żywa jak iskra, dziwacznie ubrana pani. W ciemnościach izby trzęsły się, jak skrzydła nietoperza, olbrzymie rogi niemodnego kapelusza. Wesoły, energiczny głos nappełnił powietrze.

— A cóż to? Panna Melania pokutę odprawia, czy co? do stu par beccek furmur...gonów... Cóż to za ciemności egipskie? Pani kochana! A czemuż to pani nie wyjdiesz na świat Boży, tylko tak się tu wędzisz w ciasnocie? Dla Boga, to panna Melcia nie wie, że nawet ptaszek najbiedniejszy przy tak pięknej pogodzie z wiosennych darów korzysta. A schowaj że się w mysią dziurę z tą swoją samotnością. Dalej-że, moja pani, bierz kapelusz, choćby taki stary i rogaty jak mój, nogi, panie tego, za pas i fora ze dwora! Idziemy w świat rozprószyć smutki...

Panna Melania obsypana tym gradem rubasznych, a równocześnie tak serdecznych słów, stała onieśmielona. Nie wiedziała, czy ma podać krzesło, czy się ubierać.

— No prędzej, kochanie, zabierać manatki i wio z chałupy!

Szły brzegiem rzeki w jasnej smudze księżycy. Doktor Helena Kwiatkowska dowcipami i wesołym gwarzeniem starała się rozpogodzić melancholią zasnutą oblicze biednej, starej panny.

— Widzi pani? Niechno się pani przyjrzy, jaki świat jest piękny, jaka cudna jest jego przyroda. Pani! Toż wiosna szaleje na ziemi; wszystko tętni burzliwą, nieokiełznaną żądzą życia. I ileż w tym wszystkim poezji i czaru... Słyszysz pani, jak melodyjnie płyną te srebrne wody strumyka? Czuje pa-

ni woń bzów i konwalij? Czyż nie cieszy cię ten cudny wieczór? No, niechże mi pani przyzna, że przecież mam rację. Życie jest piękne i ma w sobie urok niezgłębiony.

— O tak, ma w sobie urok... — powtórzyła jak echo przygarbiona postać.

— A w tym wszystkim Bóg Wszechpotężny i Wszechmocny, Stwórca wszelakiego Piękna i Dobra.

— Piękna i Dobra — szepnęła panna Melania. Zakaszła sucho.

— Jezus, Maria — krzyknęła doktorka. — Pani znów tak brzydko kaszle? Może pani chłód wieczorny szkodzi?

Z troskliwością, po macierzyńsku niemal ogarnęła spojrzeniem chorą towarzyszkę.

— Wygląda pani okropnie, panno Melanio! Na miłość Boską, pani znowu choruje, a ja o tym nic nie wiedziałam. Dlaczegoż mi pani nie dała znać, dlaczego pani po prostu do mnie nie przyszła? Tyle razy panią prosiłam, do stu par..., żeby pani uważała na siebie...

Potem nagle, krótkie, obcesowe pytanie i spojrzenie prosto w oczy, spojrzenie rozumne i zacne.

— Pani droga, niech pani tu przede mną mówi całą prawdę. Czy pani dzisiaj jadła obiad?

— Nie — szepnęła cichutko kwiecarka.

— A wczoraj?

— Chyba też nie, nie pamiętam dobrze...

— Do stu par — gniewnie zafurkotała doktorka. — Więc jakże, jakże tak można, czyż pani o mnie zapomniała, czyż nie mogłabym pani już od dawna postarać się o zarobek? Proszę mi zaraz jutro przysłać wieńce i kwiaty, sprzedam je w znajomym sklepie, gdzie tych rzeczy potrzebują w dużej ilości. Tylko trzeba było wcześniej, wcześniej.

A potem ciszej i łagodniej:

— I to od dawna już tak? — panno Melanio.

— Sama nie wiem. W ostatnich czasach całkiem mi to nie szło.

Przykry kaszel znów przeszył powietrze.

— Wracajmy do domu, boję się o panią, za nadto chłodno na dworze.

Przy pożegnaniu jeszcze stanowcze i energiczne słowa:

— A jutro niech pani, moja złociutka, przyjdzie do Poradni. I uszy do góry, już my tam panią wyciągniemy z tego paskudztwa. Brrrrr... okropność, tyle pani głupstw narobiła, niech to kaczka kopnie. No, ale czas na mnie, dobranoc pani!...

— Dobranoc...

W dwa tygodnie później panna Melania, rozłożona wygodnie na leżaku w sanatorium zakopiańskim, oddawała się rozkosznemu wypoczynkowi i błogim myślom. Patrzyła z podziwem na zakutego w mocarnej skale śpiącego rycerza Giewontu, błądziła wzrokiem po ciemnych pasmach gór, wchłaniała w siebie zgłodniałą wrażliwością duszy pogodę lazuruwego nieba.

— Cudnie tu, ponad wszelkie pojęcie! Czary i bajka.

O takiej bajce nigdy nawet marzyć dawniej nie śmiała. Oddychała głęboko, sycać się balsamem życiodajnego powietrza. Pobyt swój tutaj zawdzięczała pani doktor Helenie Kwiatkowskiej. Toteż wszystkim swym przygodnym znajomym w sanatorium z uwielbieniem opowiadała o swej wybawicielce. Nieustannie wracała do tego tematu:

— Ach, bo pani nie wie, co to za osoba. Dzień jej, to dzień miłości bliźniego i pracy dla chwały Bożej. Wszystek swój czas, cały rozum i każde drgnienie bogatego serca rozdziela między tych, którzy jej pomocy potrzebują. Daje zarobki, zbiera na ubogich, leczy za darmo, rozdaje lekarstwa i prowadzi Poradnię bezpłatną. A zawsze taka wesoła, dowcipna i zabawna. I nie można jej nie kochać,

choć nawet właściwie jest szorstka w obejściu, a nieraz i zgniewać się potrafi. Liczą się z nią wszyscy i wszędzie. Ma wielkie wpływy i znaczenie w miasteczku, bo daje za wielu, a nic nie bierze w zamian. Oryginał, bo oryginał! Nieraz na ulicy wyśpiewuje sobie swoje ulubione piosenki na cały głos. Albo radośnie uśmiecha się do przechodniów z uciechy, że się jakaś dobra powiodła sprawa. Zdarzyło się raz i tak; jakiś pan widząc, że się do niego uśmiecha, zbliżył się, uklonił grzecznie, pytając, czym może służyć.

— Ależ niczym, drogi panie, niczym, tylko nie rób pan tak grobowej miny, bo podminujesz miasto. Przecież słończko świeci, ciesz-że się pan z życia, panie dzieju, śmiej-że się tak, jak ja. Do widzenia!...

W ciepły dzień sierpniowy wróciła p. Melania do rodzinnego miasta. W drodze ze stacji do domu spotykała znajomych, którzy gratulowali jej świetnego wyglądu. Rozpromieniona wpadła do swej izdebki, otworzyła walizkę, wyjęła z niej pęk prześlicznych, aksamitnych bratków, wygładziła listeczki zmięte i patrzyła na nie z rozczuleniem.

Zrobiła je w Zakopanem dla panny Heleny. Były najpiękniejsze z jej kwiatów. Wypieszczone w godzinach najszcześniejszych w życiu, ożywione uczuciem wdzięczności. Z całym ich barwnym nareczem biegła wzruszona do swej wybawczyni. Jakże się cieszyła na to, że pani doktor pochwali jej rumieńce i blaski wesołe na twarzy, że ona będzie mogła uściskać jej ręce, dziękując, dziękując bez miary za to, co dla niej zrobiła. I móc powiedzieć tej dobrej pani: „I ja się cieszę życiem i dla mnie piękny jest świat”.

O! Jakżeż twardą jest dola człowieka, jakżeż zmienny jest jego los! Nigdy nie było już dane pannie Mali spojrzeć w dobre oczy opiekunki i przyjaciółki. Zamknęły się one na zawsze trzy dni przed jej powrotem. Nigdy nie było jej już dane w podzięce gorącej uściskać jedynych, serdecznych, współczujących rąk. Złożone jak do modlitwy, zastygły na zawsze. I nigdy nie było jej już dane uśmiech kojący zobaczyć i usłyszeć słowa pociechy. Odeszła ta, która bogactwa swych uczuć wlewała w zmartwiałe serca. Ta, dla której życie było szczęściem i pięknem, bo w wysokich dziedzinach brało źródła mocy i ognia uczuć... W zapomnieniu o sobie.

Nie było jej już dane.. Więc tylko te nikle kwiateczki złożyła u stóp umarłej, te bratki najmilsze. I kilka godzin, z czołem opartym o trumnę, spędziła w martwocie ducha i ciała. Nie słysząc nic dokoła, nie czując nic, ale pytając tylko wciąż o to samo, jak nierozumne dziecko: „Czemu, czemu cię już nie ma”?

Pani doktor Helena Kwiatkowska zginęła na posterunku swego zawodu, jak dobry żołnierz i obywatel. Zaraziła się w szpitalu tyfusem. Wypełniła się czara jej dobrych uczynków i powołał ją Bóg do siebie.

Przed śmiercią wspominała w gorączce pannę Melanię. Pytała, czy już uwiła dla niej wieniec z białych chryzantem. „Niech się pani spieszy, droga moja, bo już niedługo będzie mi potrzeba. Daję pani trzy dni czasu”. I za trzy dni umarła.

Panna Melania siedzi znowu samotna i zgarbiona przy swoim warsztacie. W białych dłoniach szeleszczą śnieżne płatki. Olbrzymi bukiet chryzantem bieleje pod oknem. Zachodnia luna słońca ubarwia je krwią. Już drugi dzień wije Melania ten wieniec tragiczny, a skończyć go nie może, choć się tak spieszy, by wykonać sumiennie „ostatnie zamówienie”. Nie może... Bo łzy niepoohamowane, co płyną boleśnie z jej oczu, niszczą najpiękniejsze kwiaty...

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Pamiętka po dobrej matce.

Do Amelii.

Ty mej śmierci nie płacz, mnie się dobrze dzieje,
Jam bojaźni próżna, ale nie nadzieje;
Ty się o cnotę staraj wszelakim sposobem,
A wdzięczniej mi uczynisz, niżbyś nad mój gróbem
Płakała w dzień i w nocy; to wiedz, kto do nieba
Dostał się raz, tego już płakać nie potrzeba.

Już dusza moja do lepszego przeniesie się mezkania, kiedy ty, córko moja, czytać to pismo będziesz. Są to uwagi, rady, napomnienia, prośby umierającej już matki: nie wątpię, że korzystnymi będą dla ciebie. Za nadto mnie kochasz, abyś obojętnym okiem patrzeć na nie mogła, abyś nie spełniła ostatnich życzeń, jakie zawierają.

Amelio! Obowiązana jesteś nagrodzić twymi cnotami boleści moje: bo jeśli cierpię, rzucając to życie, cierpię najwięcej dla ciebie. Matka, mąż, domownicy, przyjaciele znajdują pociechę po zgonie moim, bo się obeiść beze mnie potrafią. Ty tylko jedna rzetelnie mnie potrzebujesz, dla ciebie żyć bym jeszcze powinna!... Ale inaczej nieodzowne już chcą wyroki! Wkrótce te ręce omdleją, tulić cię nie będą do łona; wkrótce to serce, które dla ciebie, ludzi i ojczyzny tak gorąco biło, oziębnie i narzucisz je, córko, garstką lichej ziemi.

Maria Jordanowa.

Katolicka młodzież robotnicza we Francji.

Było to w wieczór czerwcowy 1926 r. Czterech młodych ludzi siedziało w skromnym lokalu stowarzyszenia robotniczego w Paryżu nad gazetką belgijską „Młodzież robotnicza”. — „Czemu tu tego nie rozpocząć” — pytali siebie i w parę miesięcy później u młodego księdza wikarego, jednej z parafii w dzielnicy czerwonego Paryża (przedmieście Paryża, które było szczególnie socjalistyczne i wrogo do Kościoła usposobione) zawiązało się stowarzyszenie młodzieży katolickiej.

W roku 1937 w lipcu zgromadziło się na I. Kongresie młodzieży robotniczej w Paryżu przeszło 70.000 członków.

Ten ruch młodych przez nich prowadzony oczywiście pod kierunkiem Biskupów i Kapłanów, porwał w ciągu tych 10 lat tak liczne zastępy, mimo całego sprzeciwu komunistów, pracujących pod wodzą i za pieniądze bolszewickie, dzięki miłości wzajemnej, która cechuje młodych apostołów.

Gdzie czerpią ci młodzi swą siłę przekonania, odwagę ich wyznawania? W gorącej miłości Boga — w bliskim z Nim obcowaniu, w czestym przyjmowaniu Komunii św.

Sliczny szczegół opowiada jeden z księży wikarych, kierowników takiego oddziału Żosistów (nazwa stowarzyszonych od pierwszych liter nazwy ich stowarzyszenia).

W jednym kościele widziano codziennie 16-letniego Żosistę, przystępującego do Stolu Pańskiego, który zaraz po tym opuszczał kościół. Zanepokoilo to kilka zacnych pań, czemu z takim pośpiechem wychodzi chłopiec z kościoła i zwrócili one uwagę na to księdzu Kierownikowi. Stwierdziwszy to także, woła ksiądz wikary owego Żosistę i pyta się, dlaczego z takim pośpiechem wychodzi z kościoła zaraz po Komunii św.?

Janina Pietrusińska.

Do „pięknej” kobiety.

(Mniej „piękne” są także prozono o przeczytanie).

— Jadziu! — mówi kochająca matka — jak on mógł, jak śmiał ten fryzjer tak cię uczesać postarzając! Idź do niego natychmiast, niech ci włosy jeszcze raz umyje i utryzuje!

— Bardzo chętnie to zrobię — mówi Jadzia — tylko nie mam pieniędzy. Chyba, że wezmę 3 zł., które tatuś dał na podzielenie bucików Stasia... On taki mały, więc może w potarganych chodzić!

— Ależ naturalnie — odpowiada matka — tylko się spiesz, bo spóźnimy się na zabawę!...

— Dlaczego oskarżona okradła swego chlebowodawcę?

— Bo... bo... chciałam sobie kupić ładną suknię, pantofle i pończochy gazowe na zabawę...

— Czy oskarżona zdaje sobie sprawę, że okradzenie chlebowodawcy jest ciężkim przewinieniem?

— Ja sądziłam, że... że... że pani nie zobaczy, że jak dostanę pensję, bo to zaraz pierwszy, to podłożę te pieniądze...

— Jak to?... Ty, Kaziu, mogłaś nie zapłacić czesnego w gimnazjum, skoro wiesz, że rodzice twój są tacy zapracowani i wszystkiego sobie odmawiają, aby cię kształcić. Co zrobiłaś z tymi pieniędzmi?

Dobroć twoja, słodycz charakteru, a nade wszystko prawdziwa religia, jaką starałam się napić twą duszę, są mi niejako rękojmią, że cnotami twymi pociechę ojcu sprawisz i cień mój radować będziesz.

Nieba ci dały duszę piękną, do dobrego skłoną, serce czułe i kliwe, rozum pojętny i bystry i najlepszego ojca. Szanuj kosztowne te dary, trzymaj się drogi cnoty, a z łatwością dojdiesz do szczęścia. W celu ułatwienia ci cokolwiek tej podróży, chociaż znam nieudolność moją, umyśliłam spisać dla ciebie niektóre rady i nauki. Mniej szczęśliwa od innych matek, nie mogę iść sama przed tobą i deptać ci ślady; wskazać tylko ścieżkę prawdy dozwoliły mi nieba!

Jakiegoż bym dziś ukontentowania doznała, gdybym, zamiast szukać przykładów u obcych, własne me życie za wzór zostawić ci mogła. Samam te rozkosz duszy mojej odjęła, a jednak nie byłam występna! Z srogich cierpień, których doznaję, wystawić sobie nawet nie mogę, jak okropne męczarnie ręczyć muszą w chwili bliskiej śmierci tych, którzy jakie popełnili zdrożności. Ach! córko, zaklinam cię, nie tylko się chroń występku, ale i błędów z pilnością unikaj; nie doświadcz nigdy dręczących mnie boleści. Wina moja tak lekka w oczach niektórych ludzi, ileż mnie nieszczęśliwą u-

A Żosista odpowiada mu, że ma do fabryki daleko, a chce koniecznie być pierwszy, aby z Panem Jezusem w sercu — sam na sam — obeiść sale fabryki, aby Pan Jezus sale pobłogosławił, żeby nie było tam tyle przekleństw, tyle obrazy Bożej. „I widzę, że Pan Jezus mnie wysłuchuje i już jest dużo lepiej” — tak zakończył młody chłopiec.

Czytamy w sprawozdaniach Żosistów, że w roku 1937, mimo całej nienawiści do Chrystusa i Jego wiary, wśród robotników francuskich — w bardzo wielu fabrykach zorganizowali Żosiści w Wielki Piątek o 15 godzinie minutę milczenia dla uczczenia Tajemnicy Odkupienia.

W jednej tkalni, gdzie pracuje kilka Żosistek, postanowiły one, że o 15 godzinie warsztaty staną — i tak się stało. Przez jedną minutę stojąc w cichości, adorowały Chrystusa Odkupiciela... Inne robotnice z początku były zdziwione, ale potem obrzuciły je szpulkami. One jednak skończyły adorację i usiadły do pracy.

W innej fabryce, kiedy młoda, 16-letnia robotnica powiedziała o tym postanowieniu, koledzy z niej kpili i powiedzieli, że jej modlitwa nic nie będzie warta, że ile nie przyjdzie do ich sali i nie uklęknie na środku. O 15 godzinie drzwi się otworzyły i weszła ta 16-letnia Żosistka, uklękła wobec tych, którzy najbardziej kpili, aby oddać cześć Jezusowi Ukrzyżowanemu, a sala w głębokim milczeniu uszanowała jej modlitwę.

Celem apostołstwa Żosistów — to danie drugim, sobie podobnym, tej wiary, która dała im szczęście, pogodę. Wielką dźwignią jest przyjaźń wzajemna, zrozumienie, pomoc na każdym kroku życia czy zawodowego, czy prywatnego.

Jak wysoko stawiają Żosiści obowiązek dobrego przykładu starszych, bardziej wyrobionych wobec młodszych, niech wykaże następujący przykład.

Prezes pewnego oddziału kochał młodą Żosistkę i widywał się z nią na spacerach w niedzielę i święta. Ale spostrzegł on, że kilku młodszych z je-

czyniła — jakże ją sobie teraz wymawiam! Jednak nazwę się szczęśliwą, jeśli mój przykład uchroni cię od przewinienia wszelkiego i o tej zbytecznej czułości, którą długo cnotą mieniłam. Ona mi nie dozwoliła tak dobrą być córką, jak ty nią jesteś i będziesz, przez nią napełniłam goryczą życie tego, którego każde cierpienie nie tylko łzami, ale krwią okupić bym chciała; przez nią nareszcie umieram! Kto inny wychowania twego dokończy. Ach! strzeż się takiej czułości, Amelio, tak łatwo i snadnie wkrasć się może do młodego serca, bo się ukazuje ozdobiona pozorami cnoty. Niewinna młodości prostota zgadnąć nie może, że uczucia li-tości, troskliwość o osoby nam drogie, skoro je do wysokiego posuniemy stopnia, szkodliwymi się stają.

Gdyby mi drugi raz rodzić się przyszło, zdaje mi się, iżbym już nie zbłądziła; rozsądek hamowałby żywość czucia mego. Mówię to z przekonania, niech ci się przyda to doświadczenie tak drogo nabyte. Pamiętaj o tym, Amelio, że kiedy opanuje duszę twą ta niechęć niebezpieczna, siły do postępowania w do-brem odejmująca, kiedy później namiętności jakie miotać tobą będą, kiedy powinność zbyt trudną wy-dawać ci się będzie, na ten czas wspomnij na matkę swoją: wspomnij, że widzi twoje postępkę, że gotowa ubolewać lub radować się nad nimi, a na pewno nie zbłądzisz.

go oddziału zaczyna się źle prowadzić; chce ich przestrzec, ale jakże zwrócić im uwagę, kiedy oni widzą, że prezes także chodzi ze swoją dziewczyną. I mimo, że oni oboje nie mają sobie nic złego do wyrzucenia, ale zgodnie postanawiają, że przestaną się widywać na spacerach, a tylko raz w tygodniu naprzemian u jej rodziców i jego rodziców widywać się będą. — I tak czynią, aby dać dobry przykład innym.

Dobry przykład przewodniczących, czy w kołach młodzieży męskiej czy żeńskiej (które osobno pracują podobnie jak i u nas), wykazuje młodszym konieczność wstrzymania się od okazji do złego, konieczność czystego życia. I coraz częściej są przykładem wśród ogólnego zepsucia moralnego Żosistki, które przeciw czystości nigdy nie zgrzeszyły!

Od tych 10 lat już są liczne małżeństwa Żosistów z Żosistkami, — powstają wzorowe katolickie gniazda rodzinne!

Stowarzyszenia tak męskie, jak i żeńskie są samowystarczalne — wkładki obowiązujące płacone są regularnie — jedne oddziały pomagają drugim w razie potrzeby. Kiedy chodziło o obliczenie kosztów dojazdu na ich Kongres, Żosiści paryscy, mimo że byli na miejscu, ale postanowili, że nie chcą być uprzywilejowani i że zapłacą tyle, ile wynoszą kosztą podróży Żosistów z południowej Francji, do wspólnej kasy, ażeby przyjąć z pomocą tym kołom, które z powodu bezrobocia nie mogłyby przyjechać.

Tak pracują młodzi i młode robotnice francuskie.

I u nas organizacje młodzieży i ogólne i zawodowe powstają, już są i będą dalej.

Wzywam matki do zaznajamiania się z pracą młodych!

Wzywam matki do specjalnej modlitwy, aby katolickie stowarzyszenia młodzieży rosły i ogarniały coraz większe zastępy naszych dzieci!

— Kupiłam sobie suknię balową, bo koleżanka zaprosiła mnie na zabawę, a ja nie miałam w czym pójść, więc te pieniądze, przysłane przez rodziców, skusiły mnie do tego... Wiem, że im będzie przykro, gdy się o tym dowiedzą, ale przecież jestem młoda i chcę się zabawić!...

...Obrazków takich możnaby wiele mnożyć. Świadczą one o lekkomyślności kobiet młodych, ich próżności i samolubstwie... One chcą być piękne, a piękność swoją chcą podkreślić ładną suknią, podmalowanymi brwiami i ukarminowanymi ustami. Słusznie się dziś mówi, że tej urody swojej rzeczywiście w ten sposób nie podkreślają, ale właśnie ją podkreślają... A moda ta wiska się wszędzie, a z nią jakże często niegodziwe i nieszlachetne sposoby, aby za wszelką cenę być modną i... podobną się, no i mieć powodzenie...

Ale posłuchać warto, co mówią mężczyźni o takiej kobiecie, która najczęściej sobą się zachwyca:

— Kazek, ale też ta twoja sąsiadka wyglądała! No, jeszcze w codziennej sukience to jaka taka, ale w tej wyciętej sukni — to istny worek z kośćcami!

— Janek! dziwię ci się bardzo, jak mogłaś tańczyć z tym wymalowanym czupirydłem, udającym podłotkę, a mającym czterdziestkę z okładem!

— Władek! po co ta panna założyła te cienkie pończoszki i tę wyciętą suknię — nie widziałem,

żeby kto tak zmarł, nos miała czerwony i ręce też, istny rak! Co one w tym pięknego widzą?

Zachwycamy się naturalnym pięknem przyrody, a tylko prawdziwy artysta — człowiek specjalnie przez Pana Boga utalentowany — umie tę przyrodę odtworzyć, czy to na obrazie, czy to w rzeźbie, czy w muzyce, czy w poezji, czy w śpiewie... ale czar natury pozostaje zawsze niedościgny... Dlatego więc kobieta w dzisiejszych czasach pozwala swój czar naturalny, choćby nie była specjalnie piękna, a nawet gdyby była brzydka — sobie odbierać, — dlaczego „poprawia” Pana Boga, — dlaczego z twarzy swej czyni maskę? — Kobieta jest wtedy piękna, gdy dobroć z uśmiechu jej bije, gdy z oczu prawość i czystość przegląda, gdy na twarzy jej wypisany pokój, ten pokój sumienia, — gdy z ust padają słowa troskliwe, serdeczne, dobre, gdy więcej o innych niż o sobie myśli...

A czy też ty wiesz, dziewczyno, że twój najpiękniejszy strój, to ta dobroć, co cię zdobi, to ten słodki uśmiech twój!...

A czy też ty wiesz, dziewczyno, że gdy dobroć w sercu masz, piękną jesteś, jak anieli, choćbyś brzydka miała twarz!...

Brat Andrzej.

K U Z J E D N O C Z E N I U Z B O G I E M

Rozmyślania nasze w poprzednim miesiącu snuliśmy na podstawie lekcji, ze Mszy św. na drugą niedzielę po Trzech Królach — z listu św. Pawła Apostoła do Rzymian. W bieżącym miesiącu będziemy dalej prowadzić nasze rozważania na podstawie tej samej lekcji. Zawiera ona także bogactwo myśli i wskazań praktycznych, i tak dostosowanych do życia współczesnego katolików, że prawdy te rozważone głęboko i wszechstronnie, przyniosą wiele korzyści duchowej każdej członkini Akcji Katolickiej.

I. TYDZIEŃ.

„W gorliwości nie stygnijcie...”

Z jakimże zapalem, z jakim podniosłym usposobieniem, z jaką wielką gorliwością zapisywała się każda z członkini do Oddziału KSK., aby służyć P. Bogu wiernie i pracować w myśl hasła i wskazań Akcji Katolickiej. Brały sobie członkinie za drogowskaz życia i działania takie hasła: „Wszystko na większą chwałę Bożą i dla zbawienia dusz!” — „Odnówić wszystko w Chrystusie!” — „Świętymi nam trzeba być, jeśli chcemy apostołować!”

Piękna to droga życia, jaką wskazuje Akcja Katolicka! — Aby jednak na niej wytrwać, trzeba gorliwości wielkiej, t. zn. szczerze, usilnie i bez przerwy dążyć do wytkniętego celu. — A tej gorliwości tak nam nieraz brak. Mała przykrość, małe nieporozumienie, drobna ofiara i wyrzeczenie, upokorzenie doznane, zawód ze strony ludzi, niezrozumienie innych — oto częste powody osłabienia naszej gorliwości w służbie dla tej Bożej, wielkiej sprawy.

Dlatego też rozważ dziś, matko kochana, jak jest z twoją gorliwością w spełnianiu uciążliwych nieraz obowiązków organizacyjnych, a więc z obecnością na zebraniach, z płaceniem składek, przystępowaniem wspólnie do Sakramentów św.? A jak z przygotowaniem odczytów, czy wygadanek? Z pracą w zastępce? A kogo zdobyłaś dla Akcji Katolickiej? A jak wyglądają twoje obowiązki rodzinne — czy spełniasz je w duchu apostołskim?

Pomyśl nad tym i zapamiętaj, że bez gorliwości świętości nie osiągniesz!

II. TYDZIEŃ.

„Duchem gorejcie...”

Gorliwym nie będzie nigdy ten, który zapomina, że podobnie jak ciało wzmacniamy pokarmem, by utrzymać jego siły fizyczne, tak i starać się trzeba, by ducha swego umacniać, aby duch ten gorzał zawsze siłą, mocą i blaskiem.

Ducha naszego umacniać może jedynie Chrystus Pan! Toteż łączenie się z Nim duchowo czy sakramentalnie jest zapewnieniem sił dla naszej duszy, pomnożeniem w nas ducha Bożego!

Wszystko co mówi, czyni i zamierza apostołka Chrystusowa, musi być z ducha Bożego, a więc musi posiadać to znamie spełnionej woli Bożej, polecenia Bożego, musi być, jak to się mówi: wedle Serca Bożego. — I to cechować musi naszą członkinię KSK. — Nie trudno ją poznać, bo każde słowo, które wypowiada, głęboko duchowo przemyślane, każdy jej uczynek spełniony planowo, z rozmysłem i zastanowieniem, każdy jej zamiar rozważony i omodlony.

Zastanów się więc, matko droga, czy wszystko w duchu Bożym rozważasz, zamierzasz i czynisz? Czy tym Duchem Bożym wszystkie twoje myśli, uczucia i czyny są owiane? A jak pojmujesz swoją przynależność do KSK., czy nie czynisz tego dla oka ludzkiego, dla względów doczesnych, dla jakichś interesów światowych? A jaki jest twój stosunek do innych członkini i do innych kobiet? A jak spełniasz obowiązki żony, matki i gospodyni?... Czy zawsze to czynisz w duchu Bożym?

Rozważ to wszystko i powiedz sobie, że Duchem Bożym gorzeć musi życie apostołki!

III. TYDZIEŃ.

„... w ucisku cierpliwi!”

Gorliwość ludzka i duch w człowieku byłyby może i silne i gorzące, gdyby Pan Bóg nie dopuszczał i nie zsyłał wszelakich nieszczęść i krzyżów na człowieka.

Toteż każdego człowieka uciski trapią. Ale znowu dobroć Boża sprawiła, że i te uciski i te nasze cierpienia — dzięki Ofierze Pana Jezusa nabrały znaczenia i zasługi na życie wieczne, ale wtedy i tylko wtedy, gdy je po dobrej przyjmujemy woli i bez szemrania znosimy.

Życie matki obfituje w uciski i cierpienia, bo wiemy, że żyje ona nie tylko swoimi sprawami, ale przeżywa sprawy swych najbliższych, a zwłaszcza sprawy męża i dzieci swoich. A nieraz z woli Bożej tyle spada na jej kochające serce krzyży i bólów, tyle ucisku doznaje, że gdyby nie wiara silna i ufność w pomoc Bożą, wpadłaby może w rozpacz, a z ust padłaby słowa szemrania i narzekania.

Toteż zapytaj się, matko kochana, swego sumienia i niech ci ono odpowie, czy cierpliwie znosisz uciski i cierpienia? Czy się przeciw nim nie buntujesz? Czy nie uskarżasz się przed innymi? A może niechętnie znosisz te doświadczenia, które dobroć Boża zsyła na ciebie, by cię w życiu cnotliwym ugruntować, a zwłaszcza te uciski, które wymagają pokory, cierpliwości, cichości? A może w miłości bliźniego doświadcza cię Pan Bóg, a ty na taką miłość nie chcesz przystać?

Zastanów się nad tym i zapamiętaj, że tylko w cierpliwości zawiązek doskonałości.

IV. TYDZIEŃ.

„...w modlitwie wytrwali!”

Człowiek każdy — z natury pyszny i dumny — woli rozkazywać i dawać, niż prosić i brać! — Pan Jezus jednak wyraźnie powiedział: „Beze mnie nic (dobrego) uczynić nie możecie!” — Nic dobrego, a tymczasem człowiek każdy chciałby wiele dobrego czynić — ale ze siebie, na swój rachunek, dla swojej chwały. Toteż wiele jest pięknych w pojęciu świata czynów ludzkich, ale niestety bez wartości na życie przyszłe, t. zn. czynów bez zasług na niebo.

Wartość takich czynów zrozumieć musi członkini KSK., jeśli chce w gorliwości trwać, duchem gorzeć i być w uciskach cierpliwą. — Musi ona pamiętać, że obcując z Bogiem duchowo w czasie modlitwy, wszystko przed swym Panem rozważając, zdaje się na Jego wolę, Jego duchem przepaja wszystko, co myśli i czyni, łączy się z Nim nieustannie. — I to jest modlitwa, ta ciągła, do której nas zachęca Pan Jezus, ta modlitwa, która prosi, nie raz błaga, ale wszystko Bogu poddaje!

Matko droga, pomyśl teraz na tym, czy uczynki twoje są takimi? Umiesz się ty ciągle modlić, o wszystkim Bogu mówić, o wszystko Go pytać, wszystko Jemu zlecać, we wszystkim Jego rady zasięgać? A może ufasz tylko w ludzką pomoc, może tylko na siebie liczysz? A może Pan Bóg wtedy ci potrzebny, gdy plany twoje się krzyżują, gdy ludzie się od ciebie odwracają, gdy cię nieszczęście spotyka? A może zniechęciłaś się do modlitwy, bo nie została zaraz wysłuchana?

Zapytuj o to siebie i pamiętaj, że trzeba stale się modlić, nigdy nie ustawać!

Teresa Szyrajew.

Maria z nad Jordanu.

(Legenda).

Dziwnie piękne pomniki znajdują się tu i ówdzie na świecie, które są żywym dowodem miłosierdzia Bożego i opieki Bogarodzicy.

W rozległej pustyni nadjordańskiej dawnymi czasy wznosiły się liczne kościoły i klasztory, a najstarszym z nich był kościół św. Jana Chrzciciela i św. Eliasza. Klasztory te były zamieszkiwane przez świątobliwych zakonników. Piękne i przedziwne zdarzenia z tych pierwszych wieków chrześcijaństwa i miejsc opisał patriarcha jerozolimski Sofroniusz.

W jednym klasztorze nad Jordanem żył świątobliwy sługa Boży Lozym. Wedle ówczesnego zwyczaju pobożni zakonnicy co roku w czasie wielkiego postu opuszczali wspólne pożyacie klasztorne i udawali się na puszcze dzika, by tam sam na sam z Bogiem będąc, jeszcze ściślejszej oddać się pokucie i bogomyślności, by jeszcze głębiej zatapiać się i rozważać Mękę Pańską. Na te piękne rekolekcje wybrał się raz czcigodny mnich Lozym. Już przepłynął się przez świętą rzekę Jordan, — wszedł w piaski i gąszcze pustynne, — idzie spokojny, oderwany od świata i ludzi — idzie, by rozmawiać z Bogiem. Wtem słyszy jakiś szmer w oddali, coś, jakby z pod ziemi się zrywa, coś między krzewami pomyka, między trzcina wysoką się kryje. Ej, pewnie to biedna, spłoszona zwierzyzna! — pomyślał ojciec Lozym i szedł dalej, szukać dogodnej przystani. Lecz zjawia wciąż ucieka, wciąż się kryje, przybierając postać zczerniałego od słońca, o białych jak len włosach człowieka. — Pewnie to jakiś pobożny pustelnik — rzekł do siebie zakonnik i już prosto ku niemu spieszy. — Lecz dalekimi — dogonić nie może, bo zjawia wciąż umyka, wciąż się kryje. — Więc ile sił starczyło ojcu Lozymowi, tak głośno wreszcie krzyknął: „Sługo Boży, czemuż uciekasz przed starcem, nie mogę ci nadać, zatrzymaj się w Imię Tego, dla którego tu mieszkasz. Może ci w czym pomogę, pobłogosław mi na mą pracę ducha”. — Na to wołanie stanął uciekający i z ukrycia swego odpowiedział: „Ojciec Lozymie! przebac! zbliżyć się nie mogę, nie mam odzieży, skóra i kości są na mnie; jeśli każesz, bym z tobą mówiła, to rzuć mi tu swój płaszcz pielgrzymi, abym się nim odziała”. — Zdzi-

wił się Lozym, że go jakaś niewiasta po imieniu nazywa. — Ta jednak, otulona otrzymanym płaszczem, zbliżywszy się, pyta: „I po cóż chcesz, sługo Boży widzieć i mówić z tą nędzną grzesznicą?” — a upadłszy do nóg, prosiła pokornie: „Tyś jest kapłan, ty mi dasz błogosławieństwo, bo ty sprawujesz świętą tajemnicę Chrystusa”. — Jeszcze bardziej zdziwił się Lozym, że ta niewiasta wie o jego kapłaństwie i wzruszony do głębi rzecze: „Nie według stanu, lecz według łaski i darów Bożych mierzy się zacość ludzka. Widzę, że w tobie, córko moja, Duch święty mieszka”. — Z największą pokorą przyjęła niewiasta te słowa i znów prosiła: „Powiedz mi kapłanie, czy Kościół chrześcijański pomnaża się? Czy żyje w spokoju?” — „Za twoją modlitwą, córko moja, Bóg dał Kościołowi spokój i wielki wzrost; ale powiedz mi teraz, kto ty jest i skąd przybyłaś? Powiedz mi wszystko szczerze i otwarcie, nie taj nic z darów Bożych, bo na to mię tu Bóg posłał, by łaski Jego w tobie ludziom przeze mnie objawić; próżnością nie zgrzeszysz, więc z posłuszeństwa wszystko opowiadaj”.

Ciężko westchnąwszy niewiasta, opowiadanie zaczęła: — „Żywot mój cały grzechem i nieczystością zmazany. Gdy usłyszysz święty sługo Boży to — to jak od jadowniczej żmii uciekać będziesz; ale każeś, więc mówię i całą prawdę opowiem. Tylko proszę o modlitwę, bym w dzień sądu mego strasznego zmiłowanie i łaskę u Boga znalazła.

— Egipt moim krajem. Dwanaście lat mając, uciekłam z domu rodziców, wyrodna córka, do Aleksandrii, by w tym mieście rozpusty i grzechu oddać się rozpuście, plugawic dniem i nocą duszę i ciało moje. Próżność, zmysłowość, lenistwo — to moja praca była i tych, których psułam i gorszyłam. Tak w Aleksandrii żyłam przez lat siedemnaście. Wtem raz spostrzegłam pielgrzymkę idącą przez ulice miasta do Ziemi świętej na uroczystość podwyższenia św. Krzyża. Dołączyłam się do niej i razem wsiadłam na okręt. Celem moim była chęć nowych wrażeń, użycia i gorszenia młodych ludzi. Drzę na myśl, że tyle dusz młodych i czystych oderwałam wtedy od cnoty i Boga. I jakimże sposobem okręt mię wtedy nie wyrzucił w morze?... otchłań morską nie pochłonięła?... i dzikie wodne bestie nie pożarły... Mój Boże!... Tyś nie chciał mej zguby, lecz nawrócenia... — W Jerozolimie nie byłam lepszą — dalszy bezwstyd i zgorszenie. Nadszedł dzień uroczysty św. Krzyża... Tłum cisnął się pełen czci i wzruszenia do kościoła. Każdy chce zobaczyć relikwie, na której Zbawiciel wisiał i ko-

nał — każdy chce ją uczcić i ucałować, po szczerym Sakramencie pokuty i żalu. Wchodzę i ja brudne, plugawe stworzenie — i odważam się wejść do świątyni. Wchodzę, lecz coś mię od progu odrzuca. Wchodzę raz, drugi i trzeci, lecz coś mię odpycha. Siła niewidzialna z tłumem wniósł nie daje. Przeto zostaję w przedsionku. Wreszcie złamana padam na ziemię. „Czemuż to ja jedna tam wejść nie mogę? — pytam siebie — czemu?” i oto nagle staje mi przed oczami duszy odpowiedź: „Życie twoje grzeszne, gorszące, dusza czarna jak smoła... i ty chcesz wejść do miejsca świętego?... Ty chcesz patrzeć na te preczyste pamiątki?... Tyś niegodna stąpać po kamieniach tego domu Bożego!” — Wówczas taki żal ścisnął serce moje biedne sierocie, taki ból padł do duszy, tak straszne obrzydzenie uczułam do grzechu mego i życia dawnego, że po raz pierwszy poczęłam gorzko, żałośnie płakać i żałować. Płacę... płacę szczerze i gorąco! — Wtem oko moje łzawo dostrzegło tuż na ścianie przedsionka obraz Preczystej Pani. „Matko Najświętsza! To Twoje serce niepokalane potępia mój niecy, plugawy żywot. Słusznie się mną brzydzisz i od progu świątyni odpędzasz; ale Ten, któregoś zrodziła, na to przyszedł na świat, by grzechy nasze odpuszczać i drogę zbawienia wskazać... Nie opuszczaj mię Pani w moim nieszczęściu, pozwól, pozwól wejść, pozwól popatrzeć na Krzyż Syna Twego! Już rzekam się na zawsze życia grzesznego i całego świata. Żałuję bardzo i żałować będę do śmierci... Pójdę na pokutę tam, gdzie mi iść każesz, a to co obiecuję, spełnię”. Po tej serdecznej modlitwie wstałam i z wielką nieśmiałością weszłam bez przeszkody do kościoła. Patrzałam na krzyż i nie wiem jak się to stało, ale z niewypowiedzianym spokojem i ufnością ucałowałam relikwie święte, poczym wyszłam z kościoła. Przechodząc przez przedsionek, ukłękłam pod obrazem Bogarodzicy. „Matko Boża! — rzekłam. — Tyś się zmiłowała nade mną. Pokaż mi teraz miejsce i drogę pokuty mojej”. — A do mych uszu wpadły te słowa: „Jeśli pójdziesz za Jordan, to tam odpoczniesz”. — Zaraz przy kościele ktoś mi sztuk parę złota do ręki włożył. Kupiłam za nie chleba, a pytając ludzi gdzie brama i droga do Jordanu, szłam dalej i dalej, modląc się i płacząc grzechów moich. I doszłam do klasztoru św. Jana Chrzciciela nad Jordanem. W kościele oczyściłam swą duszę Sakramentami św., przebrnęłam rzekę napiwszy się z niej świętej wody. Spżyłam kawał chleba, przespałam noc całą nad brzegiem rzeki w cieniu

Laura Markowska.

Wróżebna pieśń.

(Dokończenie).

Pogodny, choć mroźny to był dzień 25 listopada 1382 r. Krajobraz rozplywał się w porannej mgle, która kroplami rosy spadała w doliny, rzucając na pola deszcz onyksów, pereł i rubinów. W cudownej glorii wschodzące słońce złożyło wierzchołki ogolonych z liści drzew, wieżyczki przydrożnych kaplic i kościołów. Na głównym trakcie, wiodącym do wielkopolskiego miasteczka Radomska, mimo wczesnej pory dnia, ruch panował niebywały. Ze wszystkich stron ciągnęły gromady szlachty i duchowieństwa, wojewodowie i kasztelani, podczasi i stolnikowie, urzędnicy ziemscy, drobna szlachta i kmiecie. Chwila ta była dla narodu polskiego ze wszystkich dotąd najważniejsza. Toteż czerwieniły się drogi i gościńce od karmazynowych, pańskich szub, podbitych futrem gronostajowym, mieniły się tysiącami barw krągłe „mycki“, przetykane perłami, błyszczały w słońcu jak spadłe gwiazdy zbroje rycerzy i giermków, ciągnęły długie tabory wołów z żywnością i rynszunkiem.

W klasztorze franciszkańskim już z brzaskiem dnia rozwarło wszystkie bramy, bowiem dla panującego zimna nie pod gołym niebem, lecz tu właśnie według zwyczaju odbyć się miało „sejmikowanie“. Coraz większy gwar napępiał obszerny dziedziniec klasztorny. Rozbijano naprędce namioty, klecono szopy dla służby i czeladzi. Zatrzasnęły się wkrótce wielkie, spiżowe drzwi klasztoru i rozpoczęły się narady. Grobowa, przytłaczająca cisza zaległa wśród obecnych, przygotowując ich dusze do wielkiego dzieła.

Dwa rody przemożne Nałęczów i Grzymalczyków spór wiodło ze sobą od dawna, komu miano przyznać po śmierci Ludwika koronę. Jedni żądali

dzikich oleandrów i wierzby płaczącej, a rano weszłam w puszcze i tam mieszkam“.

Kapłan Lozym do głębi przeżyty tym opowiadaniem nieśmiało rzucił jeszcze kilka pytań: „Jak długo tu jesteś? Czym się żywisz? Czy ciężko ci było?“

— „Ojciec czcigodny, żyję tu lat czterdzieści siedem, żywiłam się przez lat pierwszych parę okruciami zabranego ze sobą chleba, potem ziołami i korzonkami pustyni. A czy mi ciężko było? Mój Boże! Toż jestem człowiek, a szatan nie śpi i wszędzie dokucza. To przypominał mi dawne życie moje i straszyl rozpacz, to znów zachęcał do powrotu na świat, do potraw smacznych, strojów, rozkoszy i zbytków nęcił, umiał też pochlebiać. Musiałam nieraz całe dnie i noce przekłeczeć na czuwaniu i modlitwie, by pokusy zwyciężyć, ale Ta, która mnie z upadku dźwiżyła, Ta moja Matka Najświętsza, czuwała nad swym dzieckiem i strzegła je, a znak krzyża odpędzał czarta. Pokarmu wielkiego też mi nie potrzeba, bo „nie samym chlebem żyje człowiek, ale słowem, które z ust Bożych wychodzi“. — Słyszac to Lozym zapytał — czy ma psalterz lub pismo święte. — „Nie, nic nie mam i czytać nie umiem i żadnego człowieka tu do tej pory nie widziałam“. — „Błogosławiony Bóg, który tak dziwne rzeczy czyni!“ — rzekł Lozym. — „Już odchodzę“ — odpowie niewiasta — „a ty ojciec módl się za mną i za rok przynieś mi nad Jordan Ciało i Krew Pańską“.

W następnym roku zachorzał ojciec Lozym i na puszcze w poście iść nie mógł, ale wedle danej obietnicy poszedł nad Jordan, by pokutnicy podać Najświętszy Sakrament. Już widzi ją nadchodzącą, płaszczem pokutniczym odzianą, przeżegnała rękę, suchą nogą ją przeszła i zbliża się, by przyjąć Jezusa. Po tym świętym akcie prosi kapłana, by za rok o tym czasie sam przyszedł na pustynię. I poszedł sługa Boży na miejsce pokuty owej niewiasty lecz zastał ją matrwą, otuloną płaszczem pokutniczym, opromienioną aureolą chwały. A obok na piasku odczytał skreślone cudownym sposobem słowa: „Ojciec Lozymie, uczyni pogrzeb nędznej pokutnicy Marii — daj ziemi ziemię“. — Zakłopotał się wzruszony starzec kapłan, bo ziemia twarda, a narzędzi żadnych nigdzie, by grób uczciwie zrobić. Wtem tam z oddali pędzi szlachetny król puszczy, potężny lew biały i zgrabnie, a zwinnie, niczym górnik jaki, kopie, gładzi i równa otwór grobowy na spoczynek swej miłej, długoletniej pani. Kapłan ze złości złożył w otwór ziemi błogosławione i umartwione ciało, zanucił psalm żałobny, pomodlił się, przeżegnał, z pomocą wiernego lwa pomnik usypał i rzewną łzą pokropił — i odszedł wielbiąc i chwając Najwyższego Boga, Jego potęgę i miłosierdzie dla pokutującego grzesznika.

usunięcia z Polski Zygmunta Luksemburczyka, a także odebrania prawa do tronu którejkolwiek z dwóch córek Ludwika, zalecając powołanie młodego księcia mazowieckiego Semka, z rodu Piastów. Drudzy, wierni dworowi andegaweńskiemu i zawartej z nim „koszyckiej umowie“, wołali: „Niech żyje Maria, margrabina brandenburska“.

— Precz z Zygmuntem! — wołali przyjaciele Nałęczów. — Sprzyja cudzoziemcom; wszak Zwierzynieckie probostwo oddał Czechowi. Żądamy Semka, księcia mazowieckiego.

— Naród nasz nigdy nie zrywał zawartej umowy. Przez pamięć na Kazimierza, zostawić Luksemburczyka! — wołali drudzy.

— Milczeć! milczeć! — naraz z kilku ust pomknęło po sali.

— Ani Zygmunt, ani Maria! — odezwał się donośny głos. — Maria po śmierci ojca objęła tron węgierski; nie dadzą nam jej Węgrzy, ale jest przecież druga, młodsza córka Ludwika.

— Aaaa... Jadwiga! — rozległo się naraz z kilku ust wołanie.

Jakiś nieziemski, cudowny promień padł nagle między zebranych i rozświecił ponure, mroczne klasztorne komnaty. Inie to zajaśniało dziwnym blaskiem, zwycięska nadzieja wstąpiła w serca.

— Do królowej-matki! — wołano. — Wysłać posłów natychmiast z żądaniem, by jak najrychlej dała jedną z córek.

Cały dzień trwały narady. Późną nocą znaczna część rycerstwa opuściła Radomsk, została jeszcze garstka Nałęczowskich sprzymierzeńców, chmurna i niezadowolona. Gniew zaciął się w posępnych ich twarzach, a zaciśnięte pięści groziły wszystkim zemsta.

* * *

Tymczasem na węgierskim dworze wiedzano już o radomskim zjeździe, w jakim celu był zwołany. Chodziły już nawet echa o zamknięciu przed Zygmuntem miast i zamków polskich, by zmusić go do odwrotu. Zaniepokojona o przyszły los swych córek królowa Elżbieta, czym prędzej wysłała posłów węgierskich do Polski z obietnicą wyznaczenia jednej z królewn na tron polski. Po długich naradach i wzajemnej, kilkakrotnej wymianie posłów między Polską a Węgrami, padł wreszcie decydujący, ostateczny wybór na młodszą córkę Jadwigę.

Jakby w złowrogim przeczuciu, piękna twarzyczka młodocianej, bo zaledwie dwanaście lat liczącej Jadwigi, od kilku dni okryła się dziwną bla-

Maria Drożdżowa.

Ulepszony warsztat tkacki — i wyrób samodziałów.

W artykule „Małego Dziennika“ z dnia 4 lutego br. czytamy: 500 milionów złotych rocznie pochłania u nas przywóz surowców rolniczych! 29 milionów złotych wywozimy za granicę za szmaty! Czy dobra matka-gospodyni, dobra Polka-katoliczka i światła członkini KSK. nie poczuwa się czytając to, do współwiny.

Polska jest krajem rolniczym — od nas kobiet, matek i dobrych gospodyń zależy w dużej mierze przyszłość wsi naszej i jej dobrobyt.

Nie kto inny, lecz kobieta, dobra matka i wychowawczyni, dobra i światła gospodyni odrodzi wieś naszą, a odrodzi ją jako dzisiaj kobieta, kobieta praktycznie wykształcona, orientująca się trzeźwo wśród obecnych warunków, zagadnień i nowych prądów życia, — kobieta rozumiejąca potrzeby obecnych czasów.

Idealnym typem takiej kobiety — to nasze pełne poświęcenia i zapału, wyrobione już na zasadach religijnych i moralnych członkinie KSK.

Jako takie, nie możemy się zaliczać do armii kobiet bezczynnych, zacofanych i bezradnych, — kobiet narzekających wiecznie na złe czasy, lecz musimy naprawdę wziąć się już raz do twórczej pracy i innymi świecić przykładem wytrwałości, poświęcenia i praktyczności.

W pierwszym rzędzie musimy wrócić do warsztatów naszych babek. Dość tych lichych szmatek, tej tandety od żyda, w którą się wszystkie ubieramy, tego marnotrawstwa grosza, wywożonego tak bezkarnie za granicę. Wróćmy do przemysłu domowego — do trykotarstwa, przedzenia i tkania własnych samodziałów z wełny naszych owiec, z naszego lnu i kenopi, na własnych warsztatach.

Idąc za przykładem czasu, jako światłe gospodynie, musimy jednak dawne, prymitywne warsztaty tkackie zmienić na warsztaty ulepszone.

dością i smutkiem. Unikała codziennych ze swymi rówieśniczkami zabaw, coraz częściej spotykano ją w kaplicy zamkowej na samotnej modlitwie u stóp Ukrzyżowanego.

Pewnego dnia przyprowadzono ją do dużej sali tronowej i przedstawiono panom polskim.

— Oto Jadwiga, przyszła wasza królowa! — oznajmiła posłom Elżbieta, odbierając w progu od służebnych i prowadząc za rękę młodocianą i piękną dziewczeczkę.

Wszystko w niej tchnęło nadziemskim jakimś urokiem. Nieśmiało skłoniła główkę i tak trwała w dziecięcym zamyśleniu. Była smukłej postawy, pełna powagi i wdzięku, a każdy jej ruch zdawał się uduchowiony. Nagle w jej ciemnych, szafirowych oczach, zapalił się jakiś lek... Coś załomotało strasznie w piersiach i wynurzało przed nią swą bladą twarz... Wzięła dalekiej północy, niby czarna chmura przesłoniła jej źrenice. Nie widziała ani zachwyconych oczu panów polskich, ani bawdawczego spojrzenia królowej Elżbiety. Stała między nimi nieruchoma, jasna, przeźroczą jak mgła, utkwivszy oczy w marmurowej posadzce. Szmer podziwu przelatywał z ust do ust. Jakimś czarownym zjawiskiem wydało się wszystkim to cudowne dziewczę, odblaskiem nieznannej, szczęśliwej gwiazdy, która wkrótce całą swą potęgą zaświeci nad Polską.

Kilka dni trwały targi panów polskich z królową Elżbietą o Jadwigę. Proszono o natychmiastowe wysłanie jej do Polski. Elżbieta długo wahała się ze względu na zbyt młodociany wiek Jadwigi. W końcu obydwie strony zobowiązały się do pewnych ustępstw. Ze strony polskiej zgodzono się odesłać Jadwigę zaraz po koronacji z powrotem do Węgier, gdzie miała jeszcze pozostać do 15-go roku życia.

Podczas gdy na Węgrzech układy dobiegały szczęśliwego końca, a posłowie imieniem narodu polskiego składali przysięgę na wierność Jadwidze, w Polsce na nowo rozgorzała walka Grzymalitów z Wielkopolanami. Pierwsi wciąż jeszcze pragnęli mieć Zygmunta Luksemburczyka królem swoim. Wielkopolska tymczasem widziała na tronie Piasta — mazowieckiego Semka. Skorzystał z tej niezgody wewnętrznej sasiadni nasz wróg — Litwa i pod wodzą swego księcia Jagielly napadła na Mazowsze, zdobywając szereg miast i zamków, siejąc po drodze straszne spustoszenie.

W tej chwili właśnie posłowie polscy z Węgier wjeżdżali w bramy krakowskiego grodu, niesąc narodowi polskiemu radosną nowinę.

Do wyrobu tkanin samodziałowych, służących na ubrania, bieliznę, używa się wiązań (splotów) tkackich jak najęściejszych, zwykle splotu płótna, splotu czynowatego (rządkowego) i pochodnych od nich. Chodzi tu o to, aby tkaniny były jak najęściej splecione, a tym samym silniejsze, dlatego, że są bardziej narażone na zniszczenie. Dla tkanin służących jako nakrycia i t. d. używa się splotów rzadszych, jak np. splot atlasu i pochodnych od niego. Materiały wełniane nie dadzą się utkać na warsztacie tak gęsto, jak inne, dlatego poddaje się je jeszcze po zdjęciu z warsztatu t. zw. folowaniu (pilśnieniu). Folowanie polega na tym, iż przez tarcie, uderzanie i działanie gorącej wody (niekiedy różnych środków chemicznych) włos wełniany szczepia się między sobą i tworzy tkaninę bardziej zwartą. Wprawdzie traci się zawsze na szerokości tkaniny, dlatego też robi się je zawsze szersze niż jest użytkowa szerokość, ale zyskuje się na miękkości, puszystości i mocy tkaniny.

Ulepszenie warsztatu można wprowadzić kosztem niewielkiej przeróbki lady. Lady przy ulepszonym warsztacie składa się z podłogi, wykonanej zawsze z twardego drzewa. Na końcach jej są umieszczone skrzynki czółenkowe. Skrzynki te mają w górnej swej części wcinkę, w których biega goniec wyrzutowy czółenka. Gonice te są połączone ze sobą za pomocą sznura, zaopatrzonego w środku w rączkę, za którą pociąga się przy rzuceniu czółenka. — Druga różnica jest w umieszczeniu wału osnowego, który jest umieszczony u dołu warsztatu, a osnowa jest przeprowadzona przez przewal osnowowy, umieszczony 10—15 cm. wyżej wału piersiowego, zaś oczka lic są umieszczone 3—5 cm. niżej linii osnowy (przy wyrobie tkanin lnianych). Czółenka jest także innego kształtu i konstrukcji. Ma dwie rolki, na których jeździ po podłodze lady, a cewka wątkowa z przędzą jest osadzona nieruchomo; wątek przy rzuceniu czółenka ściga się z cewki, a nie jak przy czółenkach zwykłych, gdzie cewka się obraca na wrzecionie. Poza tym większych, innych różnic między warsztatem zwykłym a ulepszonym nie ma.

Dla chcących jednak warsztat taki przerobić, opis ten bez rysunku nie będzie wystarczającym. Najlepiej byłoby warsztat taki oglądać i pobrać z niego potrzebne wymiary. Po szczegółowsze informacje, czy też zakupno takiego warsztatu odsyłam zainteresowanych do Towarzystwa Rolniczego każdego powiatu.